

Octavio Paz *Niebieski bukiet*

JOANNA WYSOCKA

Obudziłem się zły potem. Ze ścieżki z czerwonych cegieł, jeszcze wilgotnych, unosiła się gorąca para. Motyl o szarawych skrzydłach krążył wokół żarówki, oślepiony jej żółtawym światłem. Wskoczyłem z hamaka i boso przeszedłem przez pokój, uważając przy tym, żeby nie nadepnąć na jakiegoś skorpiona, który akurat wyszedł ze swojej kryjówki, by zaczerpnąć trochę tlenu. Zbliżyłem się do okienka, aby pooddychać wiejskim powietrzem. Czuć było oddech nocy, głęboki, kobiecy. Wróciłem na środek pokoju, przelałem wodę z dzbanka do cynowej miednicy i zwilżyłem ręcznik. Wytarłem tors i nogi zmoczoną szmatką, osuszyłem się trochę i, upewniwszy się, że żadne stworzenie nie ukryło się fałdach mojego stroju, ubrałem się i włożyłem buty. Zszedłem na dół skacząc po schodach pomalowanych na zielono. W drzwiach gospody natknąłem się na właściciela, zezowatego i powściągliwego mężczyznę. Siedząc na trzcinowym krzeselku, palił fajkę z przymrużonymi oczami. Spytał mnie ochryłym głosem:

- Dokąd pan idzie?

- Przejść się. Jest bardzo ciepło.

- Hm. Wszystko jest już zamknięte. I nie ma tu oświetlenia. Lepiej by było, gdyby pan został.

Wzruszyłem ramionami, mruknąłem „zaraz wracam” i pogrzyżyłem się w ciemności. Na początku niczego nie widziałem. Spacerowałem po omacku wybrukowaną ulicą. Odpaliłem papierosa. Nagle zza czarnej chmury wyłonił się księżyc, oświetlając biały, miejscami rozpadający się już murek. Zatrzymałem się, oślepiony taką jasnością. Wiatr zawiął lekko. W powietrzu unosił się zapach cytrusów. Pełna liści i robactwa noc tętniła życiem. Świerszcze biwakowały pośród wysokich traw. Podniosłem twarz: na górze gwiazdy też rozbiły swój obóz. Pomyślałem, że wszechświat to rozległy system znaków, rozmowa między nieograniczonymi bytami. Moje czyny, cykanie świerszczy, migotanie gwiazd, nie były niczym więcej jak tylko pauzami i sylabami, wyrwanymi zdaniem z owego dialogu. Jak brzmiałoby słowo, którego ja jestem sylabą? Kto wypowiada to słowo i kto jest jego adresatem? Rzuciłem papierosa na chodnik. Upadając zarysował w powietrzu świetlisty łuk, rozrzucając krótkie iskry jak małeńka kometa.

Spacerowałem powoli przez dłuższą chwilę. Czuję się wolny, bezpieczny między wargami, które w tym momencie z taką radością wymawiały moje imię. Nocne niebo było jak ogród pełen oczu. Przechodząc przez ulicę, usłyszałem, że ktoś wychodzi zza drzwi. Odwróciłem się, ale nie zdołałem niczego zauważyć. Przyspieszyłem kroku. Przez moment dostrzegłem sandały na gorących kamieniach. Nie chciałem się odwracać, mimo że czułem, że cień jest coraz bliżej. Próbowałem biec, ale nie mogłem. Stałem jak wryty. Zanim zdążyłem zareagować, poczułem ostrze noża na swoich plecach i słodki głos mówiący:

- Ani kroku dalej albo pana zabiję.

Bez odwracania twarzy spytałem:

- Czego chcesz?

- Pańskich oczu - odpowiedział słaby, prawie że zawstydzony głos.

- Moich oczu? Do czego ci moje oczy? Czekaaj, mam tu trochę pieniędzy.

Może to niewiele, ale zawsze coś. Dam ci wszystko co mam, jeśli mnie zostawisz. Nie zabijaj mnie.

- Proszę się nie obawiać. Nie zabiję pana. Jedynie wyjmę panu oczy.

- Ale do czego ci moje oczy?

- To kaprys mojej narzeczonej. Chce bukietek niebieskich oczu a w okolicy nie ma zbyt wielu ludzi, którzy by takie mieli.

- Moje oczy ci się nie przydadzą. Nie są niebieskie, lecz żółte.

- Aj, niech pan nie próbuje mnie oszukiwać. Dobrze wiem, że są niebieskie.

- Nie wyjmuje się chrześcijaninowi oczu ot tak. Dam ci coś innego.

- Wystarczy tych głupot - powiedział stanowczo. - Niech pan się odwróci.

Tak też zrobiłem. Był mały i delikatny. Palmowy kapelusz przykrywał mu pół twarzy. W prawym ręku dzierżył maczetę, która lśniła w świetle księżyca.

- Niech pan podświetli sobie twarz.

Zapaliłem zapałkę i przybliżyłem do swojej twarzy. Blask sprawił, że przymrużyłem oczy. Rozdzielił mi powieki zdecydowanym ruchem. Nie widział za dobrze. Stał na palcach i przypatrywał mi się intensywnie.

Płomień parzył mnie w palce. Zgasłem go. Przez chwilę milczał.

- Już cię przekonałem? Nie są niebieskie.

- Ach, ale z pana mądrała! - odpowiedział - Zobaczmy, niech pan pokaże jeszcze raz.

Zapaliłem kolejną zapałkę i przybliżyłem do swoich oczu. Ciągnąc mnie za rękaw, wydał rozkaz - Na kolana.

Uklęknąłem. Jedną ręką złapał mnie za włosy, odchylając moją głowę do tyłu. Zaciekawiony pochylił się nade mną w napięciu, podczas gdy maczeta osuwała się powoli w dół tak, aż musnęła moje powieki.

Odruchowo przymknąłem oczy.

- Szerzej - polecił.

Posłuchałem. Płomień niemal palił mi rzęsy. Ni z tego, ni z owego, puścił mnie.

- Cóż, faktycznie nie są niebieskie. Proszę mi wybaczyć.

I zniknął. Oparłem się o mur z głową między rękami. Chwilę potem się wyprostowałem. Z trudem, na zmianę upadając i podnosząc się, biegłem przez godzinę przez opustoszałą wioskę. Kiedy dotarłem na plac, zobaczyłem właściciela gospody, nadal siedzącego przed drzwiami.

Wszedłem nie mówiąc ani słowa.

Następnego dnia uciekłem z tamtej wioski.